NR. 7 NIEDZIELA, 12 KWIETNIA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



Mała mateczka.

MAŁA MATECZKA

Przytuliła do serca laleczkę
I pieściła swą drogą córeczkę,
Córusiu, zaśnij kochanie,
Nic ci się złego nie stanie.
Gorączkę ma moja biedaczka.
Bądź pewna — to minie znienacka
Już doktór opukał laleczkę
Powiedział — uzdrowię córeczkę.

Lalka więc trzy dni leżała
Lekarstwo gorzkie łykała.
Posłuszna — biedna dziecina,
Kochana Lalka jedyna.
Doktór powiedział na uszko
Lalka ma chore serduszko.
Ogromnie jestem zmartwiona
Chorobą Lalki zmęczona.
Bańki jej dobrze zrobiły,
Płucka zajęte wszak były.
Lalka jest zdrowsza więc teraz
Piosenkę śpiewa też nieraz.

Na spacer codzień wywożę
Laleczkę moją jedyną
W wózeczku dobrze ułożę
Słodką kochaną dziecinę.
I tak się cieszę serdecznie,
Lalka do zdrowia wróciła,
Córeczkę drogą bym wiecznie
Do serca mego tuliła.
I codzień gdy wstaję zrana
Patrzę — czy słońce już świeci
Cieszy się Lalka kochana,
Jedziem na spacer do dzieci.
I teraz zawsze w ogrodzie
Razem ze zdrową Laleczką
Gonimy łabędzie po wodzie
Z wesołą na ustach piosneczką.

Helena Dawidow.

ZWYCIĘSTWO WIOSNY

(Obrazek sceniczny).

OSOBY:

Król zimy
Królowa zimy, jego żona
Mróz, jego minister
Śnieg, jego minister
Wiatr północny, jego minister
Wiosna
Promyk słońca
Sopelek lodowy I-szy
Sopelek lodowy II-gi
Śniezki
Wietrzyk zefir
Kwiaty
Łątki
Motyle
Ptaszki.

SCENA I.

Król zimy i królowa siedzą na ławach **śniegowych.**

Król (poziewa)

A-a-A. Jak mi się spać chce. Żeby też przyszedł śnieg usłać mi miękką pościel, tobym się wyspał rzetelnie.

Królowa.

Zaraz pewnie wpadnie jaki sopelek lodu, to poślemy po niego. Jabym też przespała się chętnie na pulchnym piernaciku.

Król, (pociąga się)

I czemu to tak przyjemnie spać? A-a-a. (poziewa). Niema nic na świecie przyjemniejszego nad smaczny sen, kiedy naokoło panuje całkowita cisza.

Królowa.

zŻe też ty miłujesz tak zupełną ciszę. Nie rozumiem ciebie. Ja też lubię dobrze wyspać się, ale nie mogę zawsze spać i lubię czasem leżeć lub wygodnie siedząc na puchach, posłuchać śpiewu mej poczciwej Wichury lub popatrzeć na pląsy śnietek.

(szum za sceną).

SCENA II ciż i Sopelek I-szy:

(Wpada zadyszany Pierwszy Sopelek Lodowy)

Sopelek 1

Królu, nieszczęście, w tym państwie wszczęły się rozruchy wiosenne.

Król (zaniepokojony)

Rozruchy wiosenne? Jakie rozruchy?

Królowa.

A-a-ach...,

Sopelek 1-szy.

Granice twego królestwa przekroczyły hufce twego wroga Wiosny, które prowadzi jej pomocnik i przyjaciel Promyk Słońca.

Król.

Zawołać Wiatr Północny, niech wypędzi go natychmiast.

Sopelek 1-szy.

Ale, królu, ten warjat już lata po twym państwie z płonącą pochodnią i topi nią śniegi, a ostrą siekierką rąbie lód na rzekach.

Król (podnosi się z miejsca oburzony).

Co? On chce wypuścić na swobodę te buntownicze hałaśliwe fale i dać możność pląsać niesfornym rybom. Gwałtu ratunku! Zawołaj tu prędzej moich ministrów.

(Sopelek wybiega).

SCENA III.

Ciż bez Sopelka.

Królowa (płaczącym głosem).

Ten wstrętny psotnik roztopi śniegi, rozgrzeje ziemię, a z niej powyłażą nędzne robaki i zaczną łazić i grzać się na słońcu, jak gdyby też miały prawo panoszyć sie i szukać przyjemności.

SCENA IV.

Ciż i ministrowie Mróz, Śnieg, Wiatr Północny (wszyscy biało ubrani, Mróz ma w ręku srebrne łańcuchy i kajdany. Śnieg dźwiga kosz napełniony czemś białem. Wiatr ma skrzydła).

Mróz.

Najjaśniejszy królu wzywałeś nas?

Król.

Tak. Ratujcie moje królestwo. Granice jego przekroczył wódz wojsk Wiosny, Promyk Słońca, i już niszczy to, co jest dla nas najświętsze, spokój i martwą ciszę.

Wiatr Północny (burzliwie).

Zuchwalec. Dam mu nauczkę, jak poruszę temi skrzydłami, jak dmuchnę nań, to fiknie takiego koziołka, że odrazu wyleci za granicę naszego kraju. Jeżeli pozwolisz, królu, to lecę wypędzić wstrętnego, ale zupełnie nie strasznego wroga.

Król.

Leć i wypędź natrętnych, hałaśliwych przybyszów.

Wiatr Północny.

Rozkaz (wybiega).

SCENA V.

Ciż bez Wiatru Północnego.

Król.

Ten zbytnik lód łamie. Buntowniczkom falom chce dać wolność ruchu, wolność buntu.

Mróz (z pasją).

Co? On odważył się podnieść rękę na to, co ja z takim mozołem dla dobra królestwa zbudowałem! Najruchliwszy, najwięcej buntowniczy w królestwie żywioł wodę skułem mocnemi kajdanami, zamknąłem pod grubą taflą lodu, zmusiłem do bezruchu, do milczenia, a on chce skruszyć przepiękne ściany wspaniałego więzienia i wypuścić na wolność wodę, żeby znów szemrała, pluskała, pieniła się, burzyła, huczała. O, niedoczekanie jego! W naszem królestwie nie wolno szemrać i burzyć się! U nas musi być ład i porządek. Wszędzie musi być cicho, spokojnie, martwo. Z twego pozwolenia, królu, śpieszę naprawić, co zepsuł ten szkodnik, biegnę znowu ująć w łańcuchy, zakuć w kajdany oswobodzone z niewoli fale. (Wybiega).

SCENA VI.

Ciż bez Mrozu.

Królowa.

Ten psotny Promień Słońca swoją pochodnią roztopił śnieg, zagrzeje ziemię i z niej zaraz wyprysną bezczelne trawki i kwiaty, i zaczną hardo podnosić głowy do słońca, a żuczki, liszki i inne plugastwa rozpełzną się dokoła. Ja takie ohydy nie ścierpię. (Płacze).

Śnieg.

Nie martw się, dobra Królowo, ja nie pozwolę panoszyć się tej mizerocie. Pójdę, zasypię na pół metra ziemię i zaduszę, unieruchomię pod ziemią wszystek ten drobiazg, widok którego drażni twe Królewskie oczy. (Odchodzi).

SCENA VII.

Ciż bez Śniegu.

Królowa.

Poczciwy Śnieg, jak on dba o majestat królewski.

SCENA VIII.

Ciż i Sopelek 1-szy.

Sopelek (wbiega).

Królu, Wiatr Północny walczy z Promieniem Słońca i...

Król (przerywa mu).

I zwycięża go?

Sopelek 1-szy.

Nie, niestety, słabnie coraz więcej...

Król.

O, biada. Powiedz, niech Mróz i Wichura śpieszą mu na pomoc.

Sopelek (chce odejść).

Królowa (wstrzymuje go).

Zaczekaj. Zawołaj wpierw do mnie moje śnieżki, niech przyjdą zabawić mię trochę, bo się rozchoruję od tych strasznych wieści.

Sopelek (wychodzi).

SCENA IX.

Ciż bez Sopelka.

Król.

Nie czas na pląsy, kiedy królestwo w niebezpieczeństwie.

Królowa.

Niema niebezpieczeństwa, gdy się ma tak wierne sługi, jakie my posiadamy. A

ja się martwić nie mogę i nie chcę, od tego jestem Królową, żeby być szczęśliwą.

SCENA X.

Ciż i Śnieżki.

(Wbiegają Śnieżki i tańczą).

Król (Jakiś czas patrzy na tańce, potem zasypia. Królowa patrzy uśmiechnięta).

SCENA XI.

Ciż i Sopelek 1-szy.

Sopelek 1-szy.

Królu, Promień Słoneczny zwyciężył nasze wojsko.

SCENA XII.

Ciż i Wiatr Północny.

Wiatr Północny (wchodzi ze złamanem skrzydłem). Konam. (Słania się i pada u nóg Króla).

SCENA XIII.

Ciż i Sopelek 2-gi.

Sopelek II (wbiega).

Królu, Wiosna wkroczyła w twoje państwo.

Król.

A gdzież są Mróz i Śnieg, czemu nie bronią jej wstępu?

SCENA XIV.

Ciż i Śnieg.

Śnieg (wchodzi powłócząc nogami).

Nie poradzimy, Królu. Ten okropny Promień Słońca obezwładnił mnie zupełnie, zatruł mnie swym gorącym oddechem. (Zatacza się i pada na ziemię na klęczki).

Król.

Sopelki, Śnieżki biegnijcie mu na pomoc.

Śnieżki i Sopelki wybiegają.

SCENA XV.

Ciż bez Sopelków i Śnieżek, potem Mróz.

Śnieg (słabym głosem).

Uciekajcie, Królu i Królowo, Wiosna idzie, ona was zabije, jak nas zabiła.

Mróz (wchodzi z rękami związanemi wieńcem z kwiatów).

Tak, uciekaj Królu. Wiosna nałożyła na mnie swoje godło. Strzeż się, bo i ciebie weźmie w niewolę.

SCENA XVI.

Ciż i Promień Słońca.

Promień Słońca (wchodzi buńczuczny).

Nie obmawiajcie Wiosny. Wiosna nikogo nie zabija, a odwrotnie, wszystko i wszystkich darzy życiem. Wiosna nikogo nie bierze w niewolę, lecz daje wolność uwięzionym. Najnędzniejszej trawce pamaga rosnąć, gromadzić soki i piąć się w górę. Najmarniejszemu robaczkowi daje siły ruszać się i dba o jego pożywienie. Wiosna jest dobrą, sprawiedliwą i wspaniałomyślną.

Mróz (z ironją).

O, widzę, że twa Królowa ma w tobie wiernego sługę, że tak nad miarę ją wychwalasz.

Promień Słońca (dumnie).

Nie jestem sługą i nie mam Królowej.

Mróz.

A Wiosna? Któż ona? Czyż nie Królowa waszego państwa?

Promień Słońca.

Wiosna jest duszą naszego państwa, jego ideą i natchnieniem, a my jej wierni przyjaciele łączymy się dokoła niej, tworząc wiosenną republikę, gdzie wszyscy i wielcy i mali, i mocni i słabi, i dąb i trawka, i lew i liszka mają równe prawa do korzystania ze skarbów wiosennych i równe obowiązki pracy w zakresie swych sił i zdolności.

SCENA XVII.

Ciż i Śnieżki i Sopelki.

Śnieżki i Sopelki (wpadają wystraszeni)

Sopelek 1-szy.

Wiosna idzie.

Król (do Śnieżek i Sopelków, wskazując na Promień Słońca).

Zabrać tego gadułę i wyrzucić precz.

Śnieżki i Sopelki rzucają się do Promienia Słońca, on robi ruch ręką i oni trwożnie cofają się i przykucają obok Króla i Królowej.

SCENA XVIII.

Wchodzi Wiosna ze swym orszakiem kwiatów, motyli, ptaków, wiaterków itp.

Wiosna.

Jestem. Przyszłam już!

Król (z pasją).

Wynoś się, przybłędo! Ja tu panuję! Ja tu rozkazuję!

Wiosna.

Nie będziesz więcej panował, zły królu, gnębicielu życia i wolności. My tu założymy naszą republikę wiosenną i wszyscy razem będziemy pracowali i cieszyli się życiem. Przyłącz się do nas, lub idź precz!

Mróz.

Co za zuchwała mowa. To u nas był ład i porządek, cisza i spokój, a oni tu przyszli właśnie wyprawia hałasy i bezwstydnie chwalić się swym nieładem.

Promień Słońca (gniewnie).

Nie ład i porządek panowały u was, lecz ucisk i bezprawie, nie cisza i spokój, a martwota i gnuśność. Precz stąd do ciemnych nor, do lodowców! Dajcie miejsce wiosennemu życiu, wiosennej pracy, wiosennemu szczęściu!

Zefirek.

Podbiega do Króla, Królowej i otaczających ich sług.

Precz, precz stąd, zimo, mrozy, śniegi, lody, precz (wszyscy podnoszą się powoli i skuleni, wystraszeni, powoli cofają się i chyłkiem wychodzą).

Promień Słońca.

Poszli, zginęli. Nareszcie runęło ohydne, straszne królestwo Zimy, a na jego gruzach my zbudujemy naszą piękną, szczęśliwą republikę wiosenną. Niech żyje wiosna! Niech żyje republika wiosenna!...

Wszyscy.

Niech żyje wiosna! niech żyje republika wiosenna!

(Wszyscy grupują się koło Wiosny i Promienia Słońca).

Śpiew lub tańce.

DLA MAMUSI

(Z prawdziwego zdarzenia).

Od kilku dni w jednem z małych miasteczek Południowej Francji panował niezwykły ruch.

Powodem tego ogólnego zamieszania było przybycie wielkiej menażerji, która właśnie instalowała się na przeciąg kilku tygodni. Praca szła niezmiernie sprawnie i szybko: w oczach prawie stanął olbrzymi namiot z nieprzemakalnego płótna, w którym mieściły się różne okazy fauny z całego świata.

Nareszcie, ku wielkiemu zadowoleniu mieszkańców, wszystko było skończone i na następny dzień zapowiedziano przedstawienie.

O oznaczonej godzinie zaroiło się na placu przed menażerją; starzy i młodzi wylegli z domów, by uczestniczyć w otwarciu widowiska, lub przynajmniej zdaleka przyglądać się wchodzącym i wychodzącym z płóciennego namiotu szczęśliwcom.

Przed wejściem do menażerji, na małem wzniesieniu, zrobionem z desek, stał pogromca, a jak się potem okazało, i właściciel zwierzyńca, i głośnemi okrzykami zachęcał publiczność do zwiedzenia przybytku.

Ubrany był w bardzo opięte czerwone spodnie, takąż kurtkę ze srebrnemi szamerowaniami i wysokie, sięgające do kolan buty z cholewami.

— Panie i panowie — mówił śpiewnym, południowym akcentem — raczcie wejść na chwilę! Ujrzycie lwa z Atlasu, tygrysa z Bengalu, panterę z Abisynji, szakala z pustyni, węża boa - dusiciela z dziewiczych lasów, oraz cały zespół uczonych małp i psów. Zobaczycie własnemi oczami wiele pierwszorzędnych okazów świata zwierzęcego tylko za franka, za jednego franka! Nie wahajcie się, państwo, wejdźcie, proszę, kto raz przyjdzie, powróci i innych zachęci do zwiedzenia mej menażerji. Więc dalej, dalej, szanowni państwo, proszę, proszę...

Tuż przy wzniesieniu stało dwoje dzieci. Dziewczynka mogła mieć najwyżej lat dwanaście, chłopiec zdawał się być tro-

chę młodszym. Obydwoje mieli krucze włosy, śniade, oliwkowe cery i błyszczące, czarne oczy. Ubrani byli bardzo ubogo w czarne fartuchy z rękawami, przepasanemi rzemiennemi paskami, i w grube, mocno zniszczone obuwie, na które opadały szare skarpetki. Dzieciaki z zachwytem wpatrywały się w pogromcę i zdawały się połykać każde jego słowo. Widocznie odczuł utkwione w sobie spojrzenie, gdyż zwrócił się w stronę dzieci i rzekł dobrodusznym tonem:

— Panie i panowie! Dziś, jako w dniu otwarcia mej menażerji, wpuszczam darmo dwie osoby. Wejdźcie, dzieci, wejdźcie, nic was to kosztować nie będzie! — zachęcał malców.

Na twarzy dziewczynki odbiło się pewne wahanie, lecz chłopiec rzucił jej tak błagalne spojrzenie, że tylko westchnęła i, ujmując brata za rękę, weszła z nim razem do menażerji.

Ten dobry uczynek właściciela ostatecznie przekonał publiczność i zachęcił do obejrzenia zwierząt. Większość zebranych weszła do środka.

Menażerja była rzeczywiście godna uwagi: zwierzęta doskonale utrzymane, całość we wzorowym porządku.

Właściciel oprowadzał po całym budynku, udzielając różnych wyjaśnień, dotyczących życia i usposobienia swoich wychowanków.

Gdy widzowie zatrzymali się przed klatką tygrysa, pogromca poprosił o ciszę i, przybierając postawę zdobywcy świata, rzekł donośnym głosem:

— Jeżeli kto z szanownej publiczności zdecyduje się uczynić to samo, co ja za chwilę państwu pokażę, wręczę mu wobec wszystkich tu obecnych całe 100 franków.

Namiot zaległa cisza, przerywana jedynie pomrukiem znudzonych zwierząt.

— A teraz proszę o chwilę uwagi. Kto z państwa odważy się powtórzyć moje czyny, temu oprócz wymienionej sumy, ustąpię moje miejsce i oddam na własność cały mój interes.

Mówiąc te słowa, wszedł do wielkiej klatki, podzielonej na dwie części grubą, żelazną kratą. W głębi, zasunięty w kąt, siedział olbrzymi tygrys i, pomrukując groźnie, pokazywał długie białe zęby. Na rozkaz pogromcy przeszedł przez drzwiczki, znajdujące się w wewnętrznej kracie, nie przestając mruczeć złowrogo. Następnie równym krokiem przeszedł się kilka razy wokoło klatki i rozłożył się na podłodze. Wtedy pogromca położył się obok niego i oparł głowę na potężnym karku tygrysa. Po chwili zerwał się, chwycił w obydwie ręce łeb zwierzęcia, rozwarł mu paszczę i wsunął w nią głowę. Dreszcz zgrozy przeszedł obecnych. Nikt z przerażenia nie śmiał wydać głosu. Pogromca zaś, rozkazawszy zwierzęciu szerokim ruchem bata, by udało się na swe dawne miejsce, wyszedł z klatki i, przymykając za sobą drzwi, zwrócił się do publiczności.

— A więc kto z szanownych państwa zechce iść za moim przykładem? — zapytał.

Absolutna cisza była jedyną odpowiedzią.

Pogromca uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Może poprzednia propozycja moja była zbyt śmiała? — ciągnął uprzejmym głosem. — Może wydaje się państwu, że do tego, by opanować wolę zwierzęcia, potrzeba umiejętnie i długo z niem obcować? Więc pozwolę sobie zaproponować zupełnie coś innego. Oto maleńki bukiecik fijołków: kto z państwa będzie miał dość odwagi, by go podnieść, zachowa go sobie na pamiątkę, a nadto otrzyma ode mnie 100 franków nagrody.

Wraz ze słowami temi przerzucił przez kratę do klatki tygrysa garść wonnego kwiecia, które podała mu jego maleńka córeczka, ubrana w malowniczy strój hiszpańskiej tancerki.

Drzwi od klatki pozostały uchylone...

Wtem stało się coś zupełnie niespodziewanego, coś, co zmroziło krew w żyłach najbardziej zrównoważonych widzów... Oto mały, wątły chłopiec, którego na początku przedstawienia właściciel wpuścił do menażerji za darmo, jednym skokiem znalazł się na wzniesieniu z desek, na którem stała klatka, wpadł do pierwszej połowy klatki, minął ją, wszedł do drugiej i podniósł bukiecik, leżący tuż przy łapach tygrysa.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Rozległy się przeciągłe oklaski. Widzowie sądzili, że to była sztuczka, przygotowana zgóry dla zabawienia publiczności. Lecz jednocześnie rozległ się

straszny, przeraźliwy krzyk dziewczynki:

— Boże, Boże, ten potwór go poźre! Mój brat, mój mały Robert!

Tymczasem tygrys, zaskoczony obecnością obcego człowieka, podniósł się i z głuchym rykiem posuwał się ku dziecku. Malec zaś nie śmiał się ruszyć, stał oparty plecami o kratę i swe czarne źrenice utkwił w błyszczących wściekłością ślepiach zwierzęcia.

Jeszcze chwila i dosięgną go okrutne pazury... Lecz pogromca pośpieszył z pomocą. Pochwycił chłopca na ręce, wypadł z klatki i zatrzasnął za sobą drzwi.

Chłopczyna przytulił się do swego wybawcy i rzekł, jakby usprawiedliwiając się:

— Przepraszam pana, ja dla mamusi...

Na twarzy pogromcy odbiło się silne wzruszenie... Postawił chłopca na ziemi i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Za twój bohaterski czyn, wywołany miłością dla matki, dam ci nie 100, lecz 200 franków, ale opowiedz nam swoją historję, może będę mógł zrobić coś więcej dla ciebie.

Zachęcony łagodnością pogromcy, chłopiec urywanemi słowami opowiedział, że jest sierotą, że ojciec umarł już przed kilkoma laty, że matka, chodząc po domach na posługi, zarabiała na utrzymanie swoje i dwojga dzieci, lecz chora od kilku tygodni, nie mogła dłużej pracować i straszna nędza zajrzała w oczy całej rodzinie... więc on... Robert... poszedł do klatki tygrysa po fijołki, by przynieść mamusi na lekarstwo i pożywienie obiecane przez pogromcę 100 franków.

W miarę opowiadania chłopca wrażliwy tłum francuski zakołysał się i zaszemrał. Jakiś starszy pan, wrzuciwszy do kapelusza swego kilka srebrnych monet, podał go najbliżej stojącym. Wszyscy dorzucali mniejsze i większe datki i napełniony kapelusz wręczyli pogromcy, który wyjął ze swej kieszeni chusteczkę, wsypał w nią zebrane pieniądze, dodał obiecane 200 franków i podał wszystko chłopcu.

Malec oszołomiony i zawstydzony stał z pochyloną głową i prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co działo się wokoło niego.

Pogromca zaś położył rękę na jego ramieniu i rzekł donośnym, lecz bardzo wzruszonym głosem:

— Szanowni państwo! Biorę was za świadków, że od dnia dzisiejszego zajmę się przyszłością tego dzielnego i dobrego chłopca. Nie mam syna, może więc z czasem, nauczywszy się pracować ze mną, Robert zajmie moje miejsce i odziedziczy wszystko co posiadam.

Zachwycony tym gestem pogromcy, tłum długo oklaskiwał bohaterskiego chłopca i jego szlachetnego nowego opiekuna, potem rozszedł się, głęboko poruszony.

Powodzenie menażerji było na długo zapewnione.

Pogromca zaś dotrzymał swego przyrzeczenia, gdyż w kilka dni później mieszkańcy miasteczka zauważyli go na drewnianem wzniesieniu przed menażerją, a obok niego małego Roberta, ubranego w taki sam czerwony strój pogromcy dzikich zwierząt, starającego się z wielką powagą naśladować każdy ruch swego nowego mistrza i dobroczyńcy.

— n —

